№ 30. Warszawa, dnia 16 (28) Lipca 1888 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60 kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalne, rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złr. 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

MIĘDZY SCYLLĄ I CHARYBDĄ.

OBRAZEK SCENICZNY

PRZEZ

Oktawjusza Feuilleta.

PRZEŁOŻYŁA

Wł. z R. J.

(Dokończenie.)

III.

W BUDUARZE.

Pani Duvernage, Odetta.

ODETTA. Czy podobna, mamo? I on na prawdę miał mnie w podejrzeniu?

PANI DUVERNAGE. Nie przypuszczał nic nagannego... ale był niespokojnym, zazdrosnym nieco... Nie uskarżaj się jednak na to, moje dziecko.

(Latournelle wchodzi.)

ODETTA (biorąc go za ręce). Jakto... niedobry!... ty byłeś o mnie zazdrosnym... mogłeś powziąć jakie ubliżające mi podejrzenie.

LATOURNELLE. Bynajmniej. Nie pojmowałem tylko tych wszystkich tajemnic.

ODETTA (filuternie, z pozą tragiczną). Uspokój się nieszczęśliwy! (Deklamuje:)

„Dziewiczy duch mój ciągle w snach przeczystych
[drzemie,
Jeszcze go namiętności nie zwiodły na ziemię!"

LATOURNELLE. Na uspokojenie właściwie mi to przywodzisz.

ODETTA. Dlatego, aby się popisać z moją cytatą. A wiesz czyje są te wiersze?

LATOURNELLE. Na honor, nieprzypominam sobie... zaczekaj! Zdaje się, że to Rasyna, w Fedrze, w roli Hipolita...

ODETTA (śmiejąc się). Ha! ha! załóżmy się... są one Legouvego! (Wesoło) Teraz, mój drogi Henryku, idę ci przynieść mój dyplom, moje kajeta, notaty i rysunki, osądzisz czy dość pracowałam, ażeby ci się przypodobać. (Staje deklamując:)

„A jeżeli mych starań nie osiągnę celu,
Zdołam ci je dać chociaż poznać przyjacielu!"

(Wybiega żywo, potem ukazując się w podniesionej portyerze.)

A to czyje, Henryku?

LATOURNELLE. Do licha! zapewne Corneilla... w Cydzie...

ODETTA (śmiejąc się). Ha! ha! ha!... to Lafontaina! (Wybiega.)

Latournelle, Pani Duvernage.

(Latournelle przechadza się paląc cygaro, wreszcie rzuca je w ogień i siada pogrążony w milczeniu.)

PANI DUVERNAGE. A więc... (Spoglądа na niego.) Dlaczego, powiedz mi, masz minę zrozpaczonego? (Uśmiecha się.)

LATOURNELLE. Zrozpaczonego? bynajmniej... znudzonego raczej!

P. DUVERNAGE. Czemu znudzonego? Pragnąłeś żony uczonej, masz ją! Cóż brakuje ci więcej?

LATOURNELLE. Pragnąłem żony rozumnej... zapewne! ale nie w rodzaju Moljerowskiej sawantki, pedantki, gotowej co chwila popisywać się z nieznośną swą erudycyą! Nie będzie można słowa przemówić teraz, by niewygłaszała po nad nim swych naukowych komentarzy, poprawek gramatycznych, lub cytat literackich... To nie do zniesienia!

P. DUVERNAGE. Nie będziesz mógł przynajmniej zarzucić, że jej brak nauki, że niemożesz z nią poprowadzić rozmowy.

LATOURNELLE. Rozmowa obecnie z nią nie jest rozmową, ale konferencyą!

P. DUVERNAGE. Powinieneś zrozumiéć, mój Henryku, że ta młoda kobieta uczuwa potrzebę popisania się ze swą wiedzą, szczególniej przed tobą... który zarzucałeś tak często jej nieświadomość. Przeminie jednak ta pierwsza chwila i wszystko przyjdzie do równowagi.

LATOURNELLE. Chcę wierzyć temu. W oczekiwaniu na to jednakże daje się widziéć punkt jeden, na który proszę ażebyś, droga pani, zwróciła uwagę Odetty. Nie powinna starać się o podchwytywanie mnie na każdym kroku, jak to czyni obecnie, a przedewszystkiem strzedz się wytykania mi błędów, gdy jej się, z przyczyny mej niepamięci, na jakim złapać zdarzy. To wytworzyłoby mi albowiem w obec świata i nawet służących w domu przykre położenie. Co więcej... wyznam pani, że jej studya naukowe wydają mi się być fałszywie skierowanemi... Uczą ją tysiąca bezpotrzebnych przedmiotów, rzeczy, które jej psują smak i zmuszają do wyjścia z dobrego tonu, jaki przynależy zachować dystyngowanej kobiecie.

P. DUVERNAGE. Masz słuszność... przyznaję! Powtarzam ci jednak, Henryku, że to przelotna chwila. Gdybyś był zaślubiwszy ją, dopełniał sam jej wykształcenia, uczyłbyś ją tego co życzysz sobie, aby umiała, a nie objaśniał o tem, co chcesz ażeby dla niej zostało niewiadomem... i tym sposobem wszystko poszłoby dobrze. Co do mnie, gdybym nie obawiała się uczynić ci przykrości, mój drogi, dodałabym, że mnie nudzić poczynasz kwestyami swojemi, które są śmiesznie wybacz mi... sprzeczne. Gdy żona twoja okazywała się lekką, wesołą jak dziecię, wydawałeś okrzyki rozgniewanego pawia. Teraz, gdy się uczy, pracuje, stawiasz jej przeszkody i krzyczysz mocniej jeszcze. Chcesz chyba, ażeby zupełnie się jej przewróciło w głowie, to ostateczność jaka ją czeka z twej strony. (Podnosi się chcąc wyjść.)

LATOURNELLE (zatrzymując ją). O! nie... proszę cię, pani, nie opuszczaj mnie... w chwili tak krytycznej i drażliwej zarazem. Poznałem trafność rad twoich, proszę więc nie odmawiaj mi ich w tem położeniu. Pragnąłbym, aby Odetta zaprzestała uczęszczać na kursa, które mi wydają się być opłakanie źle skierowanemi. Lecz w jaki sposób mam jej to przedstawić, by jej nie zniechęcić dla siebie?

P. DUVERNAGE. Najprzód... zejdź z wysokości swego piedestału, na którym się w obec niej postawiłeś. Przemów sercem... do jej serca!... To sposób najpewniejszy z nami kobietami. Nadchodzi właśnie... mamże pozostać... czy odejść?

LATOURNELLE. O! zostań, pani...

P. DUVERNAGE. A więc... (Siada biorąc robotę.)

(Odetta ukazuje się z kajetami i rulonami papierów w ręku.)

ODETTA (wesoło, kładąc papiery na stole). Otóż jestem! Przedewszystkiem mój dyplom... (Podaje papier Henrykowi.)

LATOURNELLE (spojrzawszy nań). Oddajesz mi go?... Zachowam to między najdroższemi dla mnie pamiątkami!

ODETTA. Jakżeś uprzejmym! A teraz... moje notaty.

LATOURNELLE (przebiegając wzrokiem kajety). Biedna niebogo!... ileżeś pracowała? To zdumiewające i godne uwielbienia zarazem! Ale cóż znaczy ten gruby rulon papieru?

ODETTA. Moje studya rysunkowe...

LATOURNELLE (rozwinąwszy rulon, z podziwem). Co widzę... co to jest?

ODETTA. Liść akantu, ze świątyni Marsa mściciela...

LATOURNELLE. Ależ to wybornie odrobione... doskonale. (Do pani Duvernage:) Nieprawdaż pani? (Pokazuje rysunek.)

P. DUVERNAGE (oglądając). Tak... w rzeczy samej starannie!

LATOURNELLE (do Odetty). Powiedz mi jednak, najdroższa... czy nie znajdujesz, iż wystarczyłoby ci poprzestać na tem co dotąd zdobyłaś?

ODETTA. O! nie... Wyższy dyplom muszę otrzymać koniecznie!

LATOURNELLE. Dla przypodobania mi się... nieprawdaż?

ODETTA. Tak... na teraz...

LATOURNELLE. Jak-to na teraz... a potem?

ODETTA. Potem... ażeby zyskać własne zadowolenie, ponieważ spodziewam się... to jest... powiedziałam sobie, że w dniu, w którym przyniosę ci wyższy dyplom, spełnisz uczynioną od dawna obietnicę... kupisz mi małego konika, pod wierzch... do jazdy, nieprawdaż?

LATOURNELLE. A gdybym dał ci go jutro... tego małego konika, a gorący pocałunek zaraz, czy zaniechałabyś już starań o wyższy dyplom?

ODETTA (nadstawiając policzek). Być może... (Uśmiecha się.)

LATOURNELLE. A zatem... zgoda! (Całuje ją) układ zawarty!

P. DUVERNAGE. Jesteś zacnym i rozumnym mężem! Uściśnij i mnie również, Henryku.

(Latournelle całuje jej rękę.)

KONIEC.

Z W. Hugo.

POŻEGNANIE MŁODO POŚLUBIONEJ.

Kochaj tego co kocha i bądź z nim szczęśliwa,
Bądź zawsze mu tym skarbem, jakimś dla nas [była,
Idź tam stworzyć dom nowy, obowiązek wzywa,
Nieś szczęście i pamiętaj, abyś nie tęskniła.

Tam cię otrzymano i tam cię pragniono,
Dziewczę wypełń święcie powinność zdwojoną,
Nam zostaw żale, dla nich bądź nadzieją,
Nas zostaw ze łzą, niech oni się śmieją.

Prz. *W. Karoli.*

PRZESILENIE.

PRZEZ

Maryę Napierałską.

(Dalszy ciąg.)

Mama zamilkła, a mnie słowa jej przeniosły nagle w smutną, choć najpierw promienną przeszłość ciotki. Więc siła miłości jest tak potężną! Ah! czemuż nie można ręczyć za trwałość najmilszych nadziei, czemu nie można zawsze wierzyć w te wszystkie czarowne złudzenia, pieszczące duszę tak rozkosznie! Więc daremne usiłowania w zatrzymaniu ślicznych, brylantowych listków w wiązance snów różowych? Żelazna ręka czasu obedrze z ludzi królewskie szaty i uczyni z nich niewolników, zmuszonych uginać karku pod jarzmem jego. Gdy wonne kwiaty młodości zwarzy nagle mróz, wtenczas zdarza się, że serce żywo poprzednio bijące zmienia się w kawałek lodu i pozostaje nieczułem, niezdolnem do przyjęcia w siebie bólu lub radości, czego właśnie obraz przedstawiała ciotka Wanda.

Więc iskra uczucia, stłumiona w najpierwszym, najsilniejszym płomieniu, miałaby nie wybuchnąć nigdy. Więc jeden nierozważny krok pociągnąć musi za sobą takie smutne następstwa? A jednak, czy możnaby oprzéć się miłości? Czemże ona jest właściwie? zapytywałam siebie i to nawet bez możności udzielenia sobie odpowiedzi. Jakże pragnęłabym ją poznać!

— Mamo, a co się stało z Gerardem?

— Ożenili go także. Większą część roku spędza zawsze we Włoszech, dla polepszenia niezmiernie wątłego zdrowia żony.

Aż do G. jechałyśmy same. Tutaj do naszego przedziału przyskoczyło kilku młodych ludzi, śmiejąc się i rozmawiając. Jeden z nich zręcznym susem znalazł się odrazu w wagonie. Uderzył mnie na wstępie bardzo wysoki wzrost, giętkość postaci, profil twarzy, jakiego nie widziałam nigdy i jakaś cecha młodości, życia, tryskającego z całej postaci młodzieńca. Po króciutkim przestanku, pociąg ruszył dalej.

— Do widzenia, Witalisie, przyjemnej zabawy — rozlegały się wołania kolegów, pozostałych na peronie.

Nazwany imieniem Witalisa, z elegancką swobodą ułożył się na poduszkach wagonu i jakby mimowoli patrzył na nas. Ogarnąwszy go przelotnem spojrzeniem, rzekłam sobie w myśli:

— Piękny!

Przepyszne, kruczej czarności włosy opadały mu w połyskliwych puklach, rysy twarzy regularne, przyciągały do siebie wzrok. Świeże, purpurowe usta, z dolną wargą wygiętą znacznie, ocienione czarnym wąsikiem, były dumne, wyzywające. Oczy miał głębokie jak przepaść, w którąby się chciało ciągle patrzéć, bo jest na dnie coś, co nieprzeparcie wabi.

— Jak też on mnie znajduje — myślałam. — Jestem-że dla niego tak ładną, jak on dla mnie?

Frunęłam myślą w tej chwili w ów pamiętny dzień balu. Garderobiana Zuzia po długich oględzinach zadecydowała, że panna Anna wygląda

jak obrazek. Usta przyjaciółek drżały szeptem samych pochwał, znajome mamy oświadczyły jednozgodnie, że Anusia wyrosła ślicznie. Ciekawa też byłam, czy piękny nieznajomy podzielał to zdanie, chociaż w przybliżeniu. Czy też zachowa o mnie wspomnienie jako o kimś, z kim się spędziło chwilę dość przyjemną, ze względu... nadobnej twarzy?

Uśmiechnęłam się sama do siebie, bo czyż nie śmieszne były moje wymagania? Niezadługo, rzucimy się oboje w przeciwne może całkiem strony i prawdopodobnie nie zobaczymy już nigdy! Odnośnie do mnie, jestem pewną, że nieprędko, o! nieprędko zapomnę o tej ostatniej stacyi do Warszawy. Kiedy i gdzie ujrzę podobną postać? Czy w tym świecie, do jakiego dążę znajdą się tacy?

Idąc w ślad myśli podniosłam nań oczy. Siedział przy drugim oknie, na przeciw mnie prawie. Zbiegły się jednocześnie nasze źrenice i po kilku sekundach, musiałam spuścić moje, nie będąc w możności wytrzymania tego spojrzenia. Raptownie spuszczona błękitna woalka zasłoniła mój szkarłatny rumieniec. Dopiero głośny wykrzyknik konduktora: — Warszawa!—opamiętał mnie, przywołując zmysły do porządku. Uderzyło mi serce żywiej, powstałam z siedzenia i przycisnąwszy głowę do chłodnej szyby, wyglądałam blizkiego już celu podróży. Błękitne, czerwone światła latarni migały, rzucając promienny odbłysk na ziemię pobieloną śniegiem, niby mnóstwem brylantów. Pociąg zwalniał biegu, z daleka widniał dworzec, koło jakiego roił się tłum różnobarwnej ludności. Wrzał tu gwar, życie, pobudzając we mnie jakieś gorące zajęcie się tem wszystkiem.

— Co się też dzieje w naszej Wólce? — zagadnęła półgłosem mama.

— Wólka?

Nie znajdowała się w tej chwili nawet na ostatnim, z ostatnich planów mej myśli. Za mną drzemały skoszone niwy, szumiały smętne dęby tuliła się natura w zwoje białego płaszcza zimy, płaszcza, kryjącego martwotę. Szerzyła ona dokoła szkielety bezlistnych drzew, zwiędłych łodyg kwiatowych. Za mną rozwiewały się różowe, niewyraźne sny pierwszej młodości, unosiły się jak mgła srebrzysta, ustępując miejsca słońcu rzeczywistości. Za mną cicha, choć wesolutka niby pieśń skowronka, przeszłość; przede mną w barwnej zasłonie, nieokreślona lecz ponętna jakaś, czarowna przeczuciem przyszłość.

Stanęliśmy na dworcu. Byłam oszołomiona. Ruch, ogólne krzątanie, głosy publiczności, sprawiły prawie zawrót w mej głowie. Otworzono drzwiczki, a wtedy wyznając szczerze, nie bez pewnej obawy miałam przejść przez nie. Zdawało mi się, że stanowią granicę, jaka rozdzieli to, co było od tego co będzie. Zwolna wiec, rozglądając się dokoła, zstąpiłam na chodnik. Za mną wyskoczył pan Witalis i jednocześnie obiło się o me uszy kilka wykrzykników. Najpierwszy był mojej matki.

— Anusiu, oto twój wujaszek.

Drugi wykrzyknik naszego towarzysza podróży:

— A szanowny baron.

I wreszcie nizki, otyły, barczysty mężczyzna stojący tuż przed nami, mówił głośno, wyciągając do nas obie ręce.

— Witam cię z prawdziwą przyjemnością, moja siostrzanko, witam pana Witalisa, ale jakże się stało, że przyjechaliście razem?

— My się wcale nie znamy — rzekła mama.

Tutaj pokrzyżowały się wspólne spojrzenia i ten niemy akt rekomendacyi został przerwany wybuchem śmiechu wujaszka barona.

— A to dobre! Jechali razem, do jednego miasta, do jednego domu i to nic nie wiedząc o sobie. A więc: moja siostrzenica Anna, miłe stworzenie o ile mogę wnioskować z pierwszego rzutu oka. Nie czerwień się, moje dziecię, chociaż ślicznie ci z tymi rumieńcami, ale widzisz, mnie staremu, wszystko wolno.

Tu znów nastąpił wybuch śmiechu.

— Ależ szanowny baron zapomina o mnie — ozwał się nakoniec wesoło Witalis.

— Znam już pana — wyrwało mi się nagle z ust, zupełnie mimowoli, co mnie bardzo zmieszało.

— Zna pani? — zagadnął z pewnem zdziwieniem.

— Zna nie zna — wtrącił wujaszek — a ja zagadałem się tutaj i stoimy nie wiedzieć dlaczego. Ostatecznie, jestto pan Witalis, chłopiec najpiękniejszy pod słońcem, jak przekonywasz się o tem, moja Anusiu... Służę bratowej — skończył wreszcie, podając rękę mamie.

Stanęłam po drugiej stronie, obok mnie Witalis. Wydał mi się jeszcze wyższym, wspanialszym niż poprzednio. Wujaszek rozmawiał bezustannie z mamą, ale ja nie słyszałam nic, oprócz głosu mego towarzysza, podług mnie różniącego się od wszystkich, sprawiającego wrażenie miłej, czarującej muzyki.

— Jak się stało, że pani mnie poznała?

— Słyszałam pana imię wymówione na stacyi G.

W tej chwili ujrzałam przed nami wykwintną, błyszczącą karetę, do której wuj pomagał wsiadać mamie.

— Panie Witalisie, czy zechcesz jechać z nami? — zapytał uprzejmie.

— Dziękuję, baronie. Nie podobna mi dziś korzystać z pańskiej grzeczności. Jutro nie omieszkam złożyć wizyty.

Pożegnał nas eleganckim ukłonem. Kareta jechała szybko, on zniknął w tłumie, a ze mną działo się, jak z zaczarowaną królewną w bajce. Patrząc na wszystko nie widziałam nic, słuchając wszystkiego nie słyszałam nic. Turkot licznych pojazdów, bogate wystawy sklepów, jasne słoneczne elektryczne oświetlenie, pociągało moją uwagę, to w tym, to w owym kierunku. Z otwartemi szeroko źrenicami, pochłaniałam wszystkie piękne rzeczy, niewidziane dotąd nigdy.

— Widzę, że Anusia jest olśniona — przerwał zachwycenie wujaszek. — Cóż to będzie, jak poznasz, co tylko warte widzenia. Już my tu w Warszawie, zrobimy z ciebie: *belle demoiselle à la mode.*

Z bezwiednym uśmiechem, spojrzałam uważniej po raz pierwszy w twarz barona. Ospowata, tłusta, malowała wyraz dobroduszności, małe, szare oczy biegały prędko, przebijał w nich spryt, w ogólności cała postać przedstawiała się łagodnie, dość sympatycznie, mimo nieładnej powierzchowności.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Stowarzyszenie kobiece.

Donieśliśmy już poprzednio, iż dość liczne grono pań naszych, powzięło myśl zawiązania stowarzyszenia samopomocy dla pracujących kobiet i że nad projektem ustawy odbyła się już narada.

Obecnie dowiadujemy się, jakie mają być główne zasady projektowanego statutu, z czego Gazeta Polska następujące podaje wiadomości.

Celem towarzystwa jest zbieranie oszczędności przez kobiety: pracujące w biurach, kantorach, w zawodach nauczycielskich, rękodzielniczych i przemysłowych, oraz udzielanie pożyczek procentowych i niesienie pomocy z funduszu zapomogowego.

Uczestniczką towarzystwa może być każda pracująca w wyżej wymienionych zawodach. Nowa kandydatka wnosi do zarządu podanie o przyjęcie jej na członka, powołując się na dwie polecające ją uczestniczki. Decyzya co do przyjęcia przysługuje członkom zarządu przez balotowanie, w razie jednak nieprzyjęcia, służy kandydatce prawo odwołania się do walnego zebrania.

Uczestniczka przyjęta do towarzystwa, wnosi tytułem wpisowego jednorazowo, bezzwrotnie, na fundusz rezerwowy rs. 1, co miesiąc zaś na oszczędności swe co najmniej po kop. 50 i jako dowód otrzymuje książeczkę z odnotowaniem uiszczonych składek i większych dobrowolnych wkładów, oraz przypadających od nich procentów i dywidendy.

Uczestniczkom na żądanie udzielane są pożyczki, a w wyjątkowej potrzebie i wsparcia z funduszu zapomogowego, w miarę możności kasy.

Przyjęcie powtórne uczestniczki do stowarzyszenia, która składki swoje odebrała, nastąpić może tylko w takim razie, jeśli sama dobrowolnie wystąpiła i jeżeli zapłaci bezzwrotnie, jako zdwojone wpisowe, na fundusz zapomogowy rs. 2.

W razie wykluczenia uczestniczki, fundusz przez nią zebrany, wypłaca jej zarząd po zamknięciu roku obrachunkowego, z doliczeniem przypadającej dywidendy i procentu od oszczędności.

Na oszczędnościach uczestniczek nie mogą osoby trzecie poszukiwać swoich pretensyi, ani kłaść prawnych aresztów.

Fundusz rezerwowy towarzystwa, tworzy się z bezwrotnego wpisowego uczestniczek i z procentów, narosłych od tego funduszu. Zarząd z funduszu rezerwowego czerpać może na pokrycie niezbędnych wydatków administracyjnych.

Fundusz oszczędnościowy powstaje ze składek miesięcznych i większych sum, na oszczędność wnoszonych, oraz z dywidendy od składek i procentów od lokowanych oszczędności. Fundusz ten jest osobistą własnością uczestniczek.

Fundusz zapomogowy tworzy się z dobrowolnych ofiar, legatów, z kar uczestniczek za przetrzymanie rat zwrotu pożyczki i z wpisowego, opłacanego przy powrotnem wpisaniu się do towarzystwa.

Pożyczka może być udzielona do zwrotu jednorazowego lub w ratach nie dłuższych jak 12-o miesięcznych, w ciągu roku, z potrąceniem procentu z góry. W projekcie statutu proponowana jest maksymalna wysokość pożyczek w ilości 60 rs., sądzimy przecie, że można zastrzedz powiększenie

jej wysokości przy wzroście funduszów towarzystwa.

Pożyczki udzielane będą za pośrednictwem dwóch uczestniczek, lub dwóch osób, nienależących do towarzystwa, przedstawiających jednak gwarancyą.

Kwoty, nieprzenoszące dowolnych oszczędności uczestniczki, mogą być jej pożyczone na własny podpis, za uiszczeniem jednak z góry przypadającego procentu.

Za uchybienie terminu w zapłaceniu raty na umorzenie pożyczki, uczestniczka podlega karze 1 kop. od rubla za każdy tydzień opóźnienia.

Prawo ostatecznego przyznania pożyczki przysługuje zarządowi z doliczeniem procentu prawnego.

Zarząd towarzystwa, wybierany przez ogólne zebranie większością głosów, składa się z przewodniczącej, wiceprzewodniczącej, 5 członków oraz 3 zastępczyń.

Obowiązki kasyerki, buchalterki, sekretarki i pomocnic tychże, zarząd rozdziela między sobą i spełnia je bezinteresownie.

Komisya rewizyjna, kontrolująca rachunki i kasę co kwartał, składa się z trzech uczestniczek, wybieranych na ogólnem zebraniu.

Nadto ogólne zebranie wybiera radę opiekuńczą na lat 3 z pośród osób wpływowych, złożoną z 5-u mężczyzn, którzy zaopiekowaliby się zewnętrznemi sprawami towarzystwa.

Członków rady opiekuńczej nie obowiązuje ustawa towarzystwa, jednakże na ogólnem zebraniu mogą głos zabierać i stawiać wnioski, jak każdy rzeczywisty członek. Do sprawdzenia rocznych rachunków delegują ze swego grona dwóch członków.

Rozwiązanie stowarzyszenia nastąpić może na żądanie $^3/_4$ całej liczby uczestniczek i ostatnie zebranie ogólne decyduje o przeznaczeniu pozostałych funduszów.

Projekt tej ustawy przedstawiony być ma wkrótce właściwej władzy do zatwierdzenia. Stowarzyszenie nie zakreśla sobie wprawdzie szerokiego działania, lecz i w swojem zadaniu może być bardzo pożyteczne, jako instytucya oszczędnościowa, pozwalająca uczestniczkom gromadzić powoli mały fundusik własny, a w razie potrzeby dostawać pożyczki, nawet zapomogi.

WOLA.

PRZEZ

JERZEGO OHNET'A.

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

Jaki miałeś cel odwrócenia go ode mnie? — zaczęła znowu Dianna, po krótkiej chwili milczenia. — Ważny powód skłaniać cię musi do sprzeciwiania się mej woli, nie należysz bowiem do rzędu tych głupich lub podłych ludzi, którzy czynią źle dla samej przyjemności dokuczania innym.

— Wiesz, Dianno, że mam wielką do ciebie słabość, ale proszę cię, nie myśl o Ludwiku. Dałem słowo, że go nie zostawię na pastwę w twoich białych rączkach. Oto jest cała tajemnica. Obierz już lepiej za swoją ofiarę Lereboulleya, on wytrwalszy i doskonale potrafi się bronić, a daj pokój temu nieborakowi Ludwikowi, któremu zdaje się, że jest bardzo przebiegły a tymczasem postępuje naiwnie jak dziecię... Błagam cię o łaskę dla niego!...

Piękna Angielka podniosła spuszczone dotąd oczy, które niezwykłym jaśniały blaskiem i utkwiła wzrok w twarzy Klemensa.

— A jeśli ja go kocham? — zawołała.

— Nie mów rzeczy nieprawdopodobnych—przerwał jej chłodno Thauziat. — Jestem pewien, moja droga, że ty jedną tylko w życiu kochałaś istotę, a tą jest Dianna!... I muszę ci powiedzieć, że czynisz bardzo rozsądnie, postępując w ten sposób, gdyż ta osóbka nie zdradzi cię nigdy i starać się będzie, abyś zawsze była z niej zadowoloną... Mężczyzni są głupi i nie warto nawet zajmować się nimi.

— Dla kaprysu pragnęłam, aby Ludwik rozkochał się we mnie.

— Kaprys zazwyczaj prędko przemija.

— Wiesz Thauziat, że nie mogę zrozumieć, jaki tobą powoduje interes?... W tem wszystkiem przeczuwam ukrytą rękę kobiety.

— Być może.

— Jestem pewna, że wkrótce dowiem się, iż rywalizujesz w miłości z Ludwikiem Hérault... to jasne jak słońce... przeczuwam nawet, że miłość poróżni was kiedyś...

Klemens zaczął się śmiać.

— Jeśli kiedykolwiek sprawdzą się twoje słowa, Dianno, przez zemstę oddam ci Ludwika a wtedy będziesz mogła próbować na nim siły twoich wdzięków.

— Zgadzam się na ten projekt—zawołała młoda kobieta wesoło, uderzając pulchną ręką w otwartą dłoń Klemensa. — Pamiętaj, że umowa zawarta i targ już przybity.

— Bardzo to uprzejmie z twojej strony, że tak prędko przychyliłaś się do mojej prośby — rzekł zatrzymując białą rękę dłużej, niżby pozwalały na to prawa etykiety.

Potem ucałował końce wysmukłych paluszków a spoglądając na obnażone ramię, dodał:

— Czy nie nosisz już teraz bransolet? Wiem, że w twoim zbiorze znajdują się wspaniałe klejnoty, godne okalać tak cudnie utoczoną rękę...

— Nie lubię teraz nic prócz pereł, pięknych czarnych pereł, a kupować ich nie mogę, gdyż są zbyt drogie.

— Jeżeli pozwolisz, przyślę ci bransoletę z czarnych pereł.

— Będę ci bardzo wdzięczną, Thauziat — odrzekła piękna Angielka, a po chwili dodała lekko drwiącym tonem:

— Wolałabym jednak, abyś mi przysłał tę drogocenną perłę, którą odkrył twój przyjaciel w domu swej babki i do której podobno zaleca się na dobre.

— W domu swej babki — powtórzył zdziwiony Klemens — ależ on tam nie spotyka nikogo prócz Emilii Lereboulley.

— O! nie o niej przecież mówię, zdaje mi się, że Hérault nie był nigdy zajęty tą pokrzywioną o szafranowej cerze dziewczyną — odparła cierpko Dianna. — Mówię o innej zupełnie osobie... Czy przez wzgląd na jego nową miłość starałeś się odwrócić go ode mnie?

— Nie rozumiem ani słowa z tego co mi mówisz... Już z tydzień nie widziałem Ludwika...

— Idź więc do niego a przekonasz się, że powiedziałam prawdę; musi to być niezmiernie ciekawy widok... idź i opowiesz mi potem wszystko.

— Bardzo chętnie — odpowiedział Klemens, poczem oboje powrócili do salonu, gdzie sir James z Lereboulleyem rozpoczęli partyę pikiety. Włoch prawił grzeczności miss Andersen, której matka opychała się dalej ciastkami, słuchając jednem uchem rozmowy młodego kompozytora.

Po chwili Thauziat pożegnał się i odszedł udając się do klubu. Słowa Dianny dziwne uczyniły na nim wrażenie, pamięć miał wyborną, przypomniał więc sobie z łatwością historyę młodej dziewczyny, którą ścigał na ulicy i wspomnienia, jakie nazwisko de Graville wywołało w umyśle pani Hérault. Złośliwe docinki pani Olifaunt podrażniły go a przed oczami jego wyobraźni zjawiła się postać tej, która przez pół godziny była przedmiotem jego ciekawości i wywarła niezwykłe wrażenie na chłodnym i spokojnym jego umyśle.

— Czyżby ona w istocie mieszkała teraz u pani Hérault? — pytał się w duchu. — Dziwna rzecz, że Ludwik nie powiadomił mnie o tak ciekawem zakończeniu tej całej przygody.

Klemens przeczuwał jakąś zdradę ze strony przyjaciela. Wszakże to on a nie Ludwik spostrzegł nieznajomą na ulicy i zachwycił się jej wdzięczną postacią i ruchami pełnemi skromności i powagi. On zachęcił Ludwika do ścigania młodej dziewczyny a uczynił to bez żadnej złej myśli, jedynie dlatego, aby mieć przyjemność przypatrzeć jej się dobrze, następnie prosił go, aby spytał o nią odźwiernego. Spotkanie zatem z Heleną jemu tylko Ludwik zawdzięczać może... W tej chwili przypomniał sobie nawet jej imię i zdawało mu się, że widzi przed sobą śliczną twarzyczkę, oczy błyszczące z po za gęstej woalki, dumne, wykrojone usta i zręczne ruchy, gdy przyśpieszyła kroku, aby coprędzej uchronić się od natrętnie ścigających ją mężczyzn. A Ludwik byłby może wcale nie zwrócił na nią uwagi; ociężały i powolny z natury nie zdobyłby się na to, aby ścigać kobietę, którąby nawet nie wyróżnił z pośród tłumu. Klemens czuł niejako prawo własności względem młodej dziewczyny w której poznaniu z rodziną Hérault brał tak bezpośredni udział.

Bujna jego wyobraźnia zaczęła tworzyć najrozmaitsze przypuszczenia, lecz wkrótce zastanowił się, że wydał o przyjacielu sąd zbyt pośpieszny i że w słowach Dianny nie wszystko mogło być prawdą. Jednakże żywość z jaką zajął się Heleną ucieszyła go niezmiernie, gdyż miał w tem dowód, że się jeszcze nie zestarzał. Zajęcie jego było nawet silniejsze niż sam z początku przypuszczał a chociaż w głowie mu nie postało małżeństwo z nieznajomą, której zaledwie pamiętał rysy twarzy, jednakże drażniła go myśl, że ktoś lepiej od niego mógł się jej podobać.

Przyzwyczajony do tego, że Ludwik dał zawsze sobą powodować i ustępował mu z drogi jak panu i władzcy, Klemens oburzył się, dostrzegłszy pozór buntu w swoim wiernym poddanym, który nagle zapragnął samodzielności. Gdyby Ludwik prosił go o ustąpienie mu miejsca przy pięknej dziewczynie, Thauziat z ochotą spełniłby życzenie przyjaciela, lecz podrażniona jego miłość własna nie mogła ścierpić tej myśli, że ktoś go wyprzedza lub zwycięża. Ogarniała go wtedy szalona chęć walki i tryumfu a biada tym, którzy ośmieliliby się stawić mu opór.

Z początku z uśmiechem myślał o Ludwiku, lecz później ogarnął go głuchy gniew i postanowił jak najprędzej wyjaśnić tę kwestyę. Zjadłszy prędko obiad w klubie, przeszedł się po salonach, przypatrzył się trochę grającym, wreszcie ulegając wewnętrznemu niepokojowi, który niepozwolił mu długo usiedzieć na jednem miejscu, podążył na przedmieście Poissonnière.

Kamerdyner zamiast wprowadzić go do salonu na pierwsze piętro, otworzył przed nim małe drzwiczki wiodące do ogrodu.

Dzień był niezmiernie gorący i pani Hérault zapragnęła po obiedzie świeższem nieco odetchnąć powietrzem. Wsparta na ramieniu wnuka zeszła do ogrodu w towarzystwie Emilii i panny de Graville. Olbrzymie drzewa otaczające trawnik przed domem, nęciły chłodem i tam też zasiedli wszyscy. Była godzina dziewiąta wieczór, noc już zapadła, lecz noc jasna, letnia, wśród której każdy przedmiot z łatwością można było rozróżnić. Na niebie świeciły miliony gwiazd, trawniki starannie zroszone chłodziły powietrze, kwiaty orzeźwione lekkim powiewem wietrzyka wydawały czarowną woń, cisza i spokój zalegały cały ogród. Z daleka tylko dochodził przytłumiony odgłos turkotu powozów i gwar wielkiego miasta.

Wszyscy milczeli zachwycając się pięknością usypiającej przyrody. Po chwili Ludwik zapalił cygaro lecz pani Hérault, która wszędzie pozwalała palić wnukowi, teraz odezwała się z żywością:

— Jak możesz zatruwać dymem tytuniowym tak czarowne powietrze!

— A to coś nowego — odpowiedział Ludwik — bronisz mi babciu palić tutaj a zezwalasz na palenie w salonie.

— Czy nie czujesz cudownego zapachu kwiatów, który napełnia powietrze? Pojmujesz chyba, że twój dym zagłuszy wszystko.

— O babciu! widzę, że znów gorliwie zajmujesz się ogrodownictwem, a może panna de Graville lubi kwiaty?

I zwracając się do Heleny dodał:

— Czy pani także posiada tę niewinną namiętność?

— Panna de Graville w istocie bardzo lubi kwiaty — wyręczyła Helenę w odpowiedzi pani Hérault — i nawet lepiej ode mnie zna się na ich hodowli. Objaśniła mnie teraz jakie zmiany porobić w inspektach i widzę, że to niezmiernie ułatwi pracę około nich a tem samem i większe zapewni korzyści.

— U mojego ojca w Graville zawsze w ten sposób urządzano inspekta — odezwała się Helena.

— Skoro znalazłaś wspólniczkę, babciu, jestem pewien, że na przyszły rok dostaniesz na wystawie kwiatowej złoty medal za hodowlę storczyków... Ale jeśli gniewasz się na moje cygaro, pójdę trochę przejść się po ogrodzie; Emilio może zechcesz mi towarzyszyć?

Panna Lereboulley podniosła się na te słowa i oboje znikli pomiędzy drzewami; po chwili zaskrzypiał żwir na uliczce i pani Hérault zwracając się w tamtą stronę zawołała:

— Ah! otóż pan de Thauziat!

Usłyszawszy te słowa, Helena zadrżała; przez ten tydzień wiele razy obiło jej się o uszy nazwisko de Thauziat, wiedziała że Klemens był najserdeczniejszym przyjacielem Ludwika, a teraz skoro się przybliżył, ogarnęła ją niewytłomaczona trwoga, jakby przeczucie groźnego niebezpieczeństwa. Nie śmiała podnieść oczu, gdy dźwięczny głos odpowiedział na wykrzyknik pani Hérault:

— Dobry wieczór, droga pani, cóż u państwa słychać? Czy Ludwika nie ma dziś w domu?

— Jest, owszem, tylko poszedł przejść się po ogrodzie z Emilią Lereboulley. Ale widzisz pan, że nie jestem sama... Mam córkę przybraną... Muszę cię jej przedstawić... Moje drogie dziecię... zapoznam cię z panem de Thauziat, naszym najlepszym przyjacielem.

Helena podniosła się z ławki; od pierwszego wejrzenia poznała, że przybysz był tym samym mężczyzną, który towarzyszył Ludwikowi wtedy, gdy ją obydwaj ścigali na ulicy; pamiętała doskonale jego dumną, ogorzałą twarz i wyniosłą postać. Przeczuła go pierwej jeszcze niż go zobaczyła, tylko jego obecność mogła ją zaniepokoić do tego stopnia.

Dźwięczny jego głos jakby stworzony do rozkazywania, śmiałe spojrzenie i nieco pogardliwy uśmiech, zdradzały człowieka wyższego umysłem od innych pospolitych ludzi. Helena sama nie potrafiłaby określić czy złe lub dobre przymioty przeważały w tym człowieku, lecz odgadła, że Thauziat posiada hart duszy i niezłomną wolę, która nie ugnie się za lada wiatru powiewem.

Tymczasem pani Hérault wskazując na młodą dziewczynę, dodała:

— Kochany Klemensie, przedstawiam ci pannę Helenę de Graville.

Thauziat ukłonił się z szacunkiem pełnym wdzięku i godności, jakby składał hołd u stóp tronu księżniczce krwi królewskiej i rzekł łagodnym, pieszczotliwym głosem:

— Teraz już zabierając Ludwika nie będę uczuwał tak srogich wyrzutów sumienia, wiedząc że pustka wywołana jego nieobecnością nie da się bynajmniej we znaki pani Hérault.

Helena chłodnym ukłonem odpowiedziała na pełen szacunku ukłon i pochlebne dla niej słowa Klemensa. Pomimo, że ten ostatni nie przekroczył w niczem granic najsurowszej etykiety, Helena czuła się poniekąd obrażoną, było coś dziwnego w dźwięku głosu, spojrzeniu i postawie de Thauziat, co raziło młodą dziewczynę, zdawało jej się, że śmiały mężczyzna szepce jej do ucha rozkoszne słowa miłości. Każdy najpospolitszy wyraz nabierał znaczenia w ustach tego człowieka, którego nie można było lubić, lecz należało uwielbiać lub nienawidzieć, o wyłamaniu się zaś z pod jego wpływu nie można było i myśleć.

Helena od pierwszej chwili przeczuła całą potęgę tego fatalnego wpływu, odgadła, że Klemens ważną rolę odegra w jej życiu ale czy uczyni jej co dobrego lub złego tego sama nie potrafiłaby określić.

Podczas gdy Thauziat rozmawiał z panią Hérault, Helena odważyła się spojrzyć nań, aby go dobrze wybadać, nie odkryła jednak w jego twarzy ani śladu złośliwości. Przeciwnie, wysokie rozumne czoło, czarne oczy o głębokiem, promiennem spojrzeniu, białe zęby i wyraz siły i wesołości malujący się na twarzy, zjednywał mu sympatyę wszystkich. Tylko nos orli nadawał trochę surowości rysom twarzy, lecz mógł być zarówno dowodem dumy jak i okrucieństwa, za to głos dźwięczny, pełny i miły rozbrzmiewał, jak najpiękniejsza melodya. Helena mimowoli porównała w myśli prawdziwie męzką piękność Klemensa z drobną i wiotką postacią Ludwika, którego delikatna płeć, blond włosy i błękitne oczy zupełną stanowiły sprzeczność ze śniadą cerą i czarnemi włosami przyjaciela. I usposobieniem różnić się musieli zupełnie, Ludwik był powolny, chwiejny w zdaniu i ociężały, gdy tymczasem Thauziat zdawał się uosobieniem hartu duszy i silnej woli. W obec niego Ludwik wyglądał jak gołąb' w obec jastrzębia i z pewnością nie potrafiłby mu się w niczem opierać. Być może, że los przeznaczał go na ofiarę Klemensa.

Rozmyślania Heleny przerwał powrót Ludwika, który ukazał się na końcu alei, w towarzystwie Emilii. Z daleka poznał już przyjaciela.

— Kogóż ja widzę? czy to ty Klemensie? — zawołał.

Lecz pomimo radości brzmiącej w jego głosie Ludwik nie przyśpieszył kroku, zdawało się nawet, że się ociąga nieco. Panna Lereboulley przeciwnie, pośpieszyła do Klemensa z uśmiechem na ustach i błyszczącemi radością oczami.

— Dotrzymałeś danego mi słowa — rzekła podając mu rękę — dziękuję ci Klemensie.

— Za co mu dziękujesz, Emilio?—zapytał Ludwik.

— Za małą przysługę, jaką mi oddał niedawno.

— Tak, nie wiedziałem, że Thauziat oddaje ci przysługi. Strzeż się jednak, Emilio, Klemens jest człowiekiem wyrachowanym i nic nie zrobi bezinteresownie.

— Klemens może ode mnie żądać co mu się tylko podoba — odparła z powagą Emilia — nigdy nie zdoła wymagać tyle, ile ja sama dobrowolnie mu ofiarowałam.

Kończąc te słowa skierowała się ku ławce i siadła pomiędzy Heleną i panią Hérault. Dwaj przyjaciele pozostali sami.

— Co się z tobą dzieje, mój Ludwiku, tak dawno cię nie widziałem?—zagadnął Klemens.—Czy masz zamiar zostać pustelnikiem?

— Jeszcze jestem trochę za młody na to — odparł żartobliwie Ludwik.

— A może to piękne oczy tej młodej osoby zatrzymują cię w domu? — badał dalej Thauziat, ruchem głowy wskazując pannę de Graville, podczas, gdy ironiczny uśmiech przemknął po jego ustach.

Ludwikowi żywiej zabiło serce. Czuł, że przyjaciel pod osłoną żartu chciał się dowiedzieć prawdy i że należało postąpić z nim szczerze. Pierwszą jego myślą było odpowiedzieć po prostu: tak, Helena mi się podoba i byłbym szczęśliwy, gdyby mnie wzajemnie pokochała, lecz pamięć o skromnem stanowisku społecznem, jakie zajmowała młoda dziewczyna, zmroziła pierwszy poryw jego uczucia i powstrzymała go od wyznania Klemensowi, jak żywo się nią zajął.

Lękał się szyderstw ze strony przyjaciela a przytem coś nakształt zazdrości zbudziło się w jego sercu. Przypomniał sobie uwielbienie de Thauziata, gdy ten po raz pierwszy ujrzał Helenę na ulicy i ścigał ją tak natarczywie, uznał więc za stosowne nie zwracać na nią uwagi, tak niebezpiecznego współzawodnika i ukryć przed nim miotające nim wrażenia.

— Co ci też przychodzi do głowy — rzekł pogardliwie po chwili — ja miałbym się zająć zwykłą panną do towarzystwa? Znasz mnie i wiesz, że nigdy nie pojmowałem jak można mieć miłostki w domu; to zbyt kłopotliwe. Jeśli się człowiek poróżni, to albo nie śmie pokazać się w domu, albo musi oddalić kobietę i uchodzić za człowieka bez serca. Ja jestem na to zbyt wrażliwy i nie lubię nikomu robić przykrości... A zresztą, czy uważasz, że panna de Graville jest ładna?

— Bardzo ładna i ma dużo wdzięku w ruchach i postaci i jeśli serduszko jej wolne...

— Ależ Klemensie, pamiętaj, że ona jest pod opieką mej babki...

— Bądź spokojny, zdaje mi się, że potrafię uszanować twój dom.

— To jest panienka z bardzo dobrej rodziny...

— W takim razie można się z nią ożenić! — rzekł Thauziat śmiejąc się.

Poczem zwracając oczy na przyjaciela, dodał z powagą:

— Jakiś ty dziś skromny, Ludwiku. Czy kryjesz przedemną jaki tajemny zamiar? Bądź szczerym i powiedz mi myśl twoją.

— Upewniam cię, że nie mam żadnej ukrytej myśli.

Tak więc dwa razy Ludwik ominął rozmyślnie sposobność wyspowiadania szczerze swych uczuć przed przyjacielem i kto wie, czy w przyszłości nie będzie tego gorzko żałować.

Zamilkli obydwaj i zwolna zbliżając się do kobiet siedzących na ławce, rozpoczęli z niemi rozmowę. Zmrok zapadał coraz większy, tak że już z trudnością można było rozróżnić przedmioty. Emilia milcząca z początku, ożywiła się później i współzawodniczyła z Klemensem w dowcipnej rozmowie. Oboje starali się na wyścigi olśniewać wszystkich zaletami umysłu i usiłowali być tak przyjemnemi jakby ich przynajmniej ze sto osób słuchało. Klemens przeszedł tego wieczora sam siebie a Emilia wtórowała mu znakomicie.

Nikt się nie spostrzegł jak na przyjemnej pogawędce zeszło parę godzin, tymczasem powietrze oziębiło się i gwar miasta cichł w oddaleniu. Ludwik pierwszy przerwał czar, jakiemu mimowoli podlegali wszyscy, mówiąc:

— Zasiedzieliśmy się a to już blizko północ.

Pani Hérault wstała ociągając się i wszyscy skierowali się ku domowi, w przysionku, Emilia z pomocą oczekującej na nią panny służącej ubrała sie w płaszczyk i kapelusz.

— Jak miło spędziliśmy dzisiejszy wieczór — zaczęła babcia.

— Możemy często zrobić sobie taką przyjemność — dodała Emilia — jeśli tylko pan de Thauziat nie uchyli się od naszego towarzystwa.

Klemens uśmiechnął się w milczeniu, niechcąc okazać jak bardzo pragnął tego i ukłoniwszy się pani Hérault i pannie de Graville, uścisnął rękę Ludwika i rzekł zwracając się do panny Lereboulley:

— Odprowadzę panią do powozu.

Poczem wyszli oboje a mieszkańcy pałacyku spoglądali w milczeniu za oddalającemi się.

— Co to za miły człowiek z tego Klemensa! — przemówiła wreszcie pani Hérault, będąc jeszcze pod wrażeniem uroku, jaki na nią wywierał de Thauziat. — Patrząc na niego i słuchając go nikt by się nie domyślił, że to dyabeł, tak, kochana Helenko, prawdziwy dyabełek!... A jaki on był przez te dwie godziny skromny i uprzejmy!... Ja, przyznaję się otwarcie, że mam słabość do tego chłopca, lubię go niezmiernie!... Spodziewam się, że wkrótce znowu nas odwiedzi...

— Nie łudź się naprożno, droga babciu — odpowiedział Ludwik. — Thauziat celuje w sztuce podobania się zwłaszcza wtedy, gdy chce, aby go żałowano. Dziś zaś tak się już dla nas wysilił, że nie zobaczemy go jak za dwa tygodnie.

Ludwik mówił to z najgłębszem przekonaniem, ale zawiódł się w swojem wyrachowaniu, gdyż na trzeci dzień Thauziat zjawił się znowu. Zdawało się, że równie jak jego przyjaciel polubił nagle życie rodzinne a obrzydził sobie wrzawę wielkoświatową. Pani Hérault uważała go zawsze za domownika, a częste jego odwiedziny usprawiedliwiała przyjaźń z Ludwikiem. Teraz jednakże bywał tylko w takich godzinach w których był pewien, że spotka pannę de Graville w salonie. Z nadzwyczajną zręcznością i taktem uśpił uprzedzenia Heleny i najmniejszego podejrzenia nie obudził w pani Hérault, potrafił nawet w pole wyprowadzić Ludwika, który mówił sobie w duchu:

— Klemens w istocie szczerze jest do mnie przywiązany. Mam na to teraz najlepszy dowód, bo dlaczegóżby nas tak często odwiedzał jeśli nie w celu widzenia się ze mną?

Emilia okazała się daleko przenikliwszą, gdyż od pierwszej chwili odgadła co się działo w umyśle Klemensa, a chociaż uczucia jego dosyć były zawikłane, Emilia rozumiała je aż nadto dobrze. Nikt bowiem lepiej nie potrafi analizować wrażeń jak kobieta, która kocha, cierpi i bada co jest powodem jej cierpienia.

Pierwszego dnia Klemens przyszedł do pani Hérault wiedziony jedynie tylko ciekawością zobaczenia panny de Graville. Chciał się przekonać jakiego to rodzaju istota i ukarać Ludwika za jego obłudną nieufność, zalecając się potrosze do Heleny, wkrótce jednak oczarowany wdziękiem młodej dziewczyny, zajął się nią szczerze i ten niezwyciężony król salonów gotów był godzinami całemi przesiadywać u pani Hérault i zabawiać rozmową całe towarzystwo, jedynie dlatego aby usłyszyć głos Heleny lub popatrzyć w piękne jej oczy.

Helena nie domyślała się nawet całej rozciągłości uczucia, jakie zbudziła w sercu Klemensa, który bardzo często grywał teraz w bezika z panią Hérault, dlatego aby módz co chwila spoglądać na młodą dziewczynę, siedzącą przy stoliku z robotą w ręku. Samo obcowanie z nią i oddychanie otaczającą ją atmosferą, sprawiało mu rozkosz niewymowną i uszlachetniało go niejako. Uczucia jego potęgowały się tak szybko, że sam nie wiedział dokąd stacza się po tej pochyłości, która nagle otwarła się pod jego nogami. Lecz było to dla niego obojętną rzeczą, nie dbał jakie następstwa wypłynąć mogą z jego postępowania, tylko rozkoszował się obecną chwilą, której równej nie pamiętał w życiu.

Powoli starał się pozyskać zaufanie Heleny, wypytując ją poważnie o jej rodzinne strony, o krewnych i o przedwczesnej walce o byt, którą musiała staczać odważnie, aby zapewnić sobie niezależność.

Mówiąc z nią, dobierał jak najwytworniejszych słów dla wyrażenia jej uwielbienia, jakiem go przejmowało jej postępowanie. W istocie był to ciekawy widok, patrzeć jak ten człowiek obojętny i popsuty powodzeniem w świecie, stawał się skromnym i potulnym w obec ukochanej kobiety.

Emilia ze smutkiem patrzyła na postępowanie Klemensa i oceniała dokładnie potęgę jego namiętności, a widząc, że panna de Graville obojętnie przyjmuje jego grzeczności, powzięła dla niej głęboki szacunek. Sądząc po sobie, mniemała, że żadna kobieta nie zdoła oprzeć się urokowi Klemensa, który jednoczył w sobie wszystkie zalety wymagane od idealnego kochanka. Słodycz, czar jakiś nieokreślony przebijał w każdem jego słowie i spojrzeniu; Emilia podziwiała godność i chłodną uprzejmość Heleny z jaką przyjmowała aż nadto wyraźne grzeczności Klemensa. Chwilami można było mniemać, że Helena nie rozumie uczuć powodujących postępowaniem młodego człowieka i Emilia powiedziała sobie, że bądź co bądź musi zbadać co się dzieje w duszy młodej dziewczyny, która niczem nie zdradzała miotających nią wrażeń.

Pani Hérault uważała Helenę prawdziwie jak córkę, to też sypialnia tej ostatniej znajdowała się tuż obok jej pokoju. Panna de Graville miała wyłączną do swej posługi pokojówkę i od chwili zamieszkania w pałacu, obsypywano ją podarunkami, a że skromne jej sukienki były w obecnem położeniu zupełnie nieodpowiednie, pani Hérault prosiła Emilię, aby wspólnie z Heleną załatwiła dla tej ostatniej liczne sprawunki i zakupy po magazynach. Odrazu więc Emilia i Helena zaczęły żyć z sobą na stopie pewnej poufałości. Przytem sam Lereboulley okazał się nader uprzejmym dla nowej przyjaciółki swej córki i serdecznie zaprosił ją do swego domu.

Helena chętnie korzystała z tego zaproszenia; oryginalność Emilii dziwiła ją z początku, poznawszy jednak lepiej usposobienie i kryjący się pod pozorem sarkazmu szlachetny charakter, polubiła ją szczerze. Odczuła gorycz, jakiej doznawać musiała jej wzniosła dusza, kryjąca się w ułomnem i skarłowaciałem ciele, poznała skarby uczucia, drzemiące w głębi jej serca, jak perły w falach oceanu a widząc ją cierpiącą i nieszczęśliwą, pokochała ją jak siostrę i postępowała z nią szczerze, serdecznie; chcąc swojem przywiązaniem osłodzić jej wszystkie gorycze zawodów, które ją spotykały w życiu. Prawy i szczery charakter Heleny, odrazu podobał się Emilii i węzły niezachwianej przyjaźni złączyły obie młode dziewczyny.

Często spędzały długie, samotne godziny w pracowni Emilii. Helena nauczyła się od niej w krótkim przeciągu czasu malować na porcelanie i z upodobaniem oddawała się temu zajęciu a wyglądała prześlicznie w dużym fartuchu i z pędzlem w ręku pochylona nad stołem. Panna Lereboulley robiła właśnie jej portret.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

WIADOMOŚCI
Z RÓŻNYCH STRON.

Lato tegoroczne nietylko nas obdarza niespodziankami. Z różnych stron Europy nadchodzą wieści o zimnach i słotach, a w dolinach Elby spadł nawet w ostatnich dniach olbrzymi śnieg, szyby zaś mieszkań, na wiatr wystawionych zamarzły. W Paryżu panuje iście listopadowe powietrze; w ubiegłym tygodniu zaległa miasto taka mgła o godzinie 10 rano, że we wszystkich sklepach musiano gaz zapalić. Zjawisko to, jak na Lipiec, bardzo rzadkie.

W Anglii w rozmaitych okolicach spadły śniegi, a temperatura również przypomina późną jesień.

Niemałej też niespodzianki doznali mieszkańcy okolicy Schneekoppe (jeden z głównych szczytów w górach „Olbrzymich"). Oto w nocy z dnia 11 na 12 Lipca, srożyła się tam gwałtowna zamieć śnieżna przy 2 stopniowym mrozie. Ludność tamtejsza ujrzała się nad ranem wśród zasp śniegowych, które dokoła grubą warstwą pokryły ziemię.

Przez całą jeszcze następną dobę promienie słońca nie zdołały zimowego pejzażu usunąć.

W pobliżu znów Bagdadu, w Mezopotamii, szalała niedawno burza tak straszna, jakiej najstarsi ludzie tamtych okolic nie pamiętają. Podczas nawałnicy padał grad wielkości jabłek. Na falach Eufratu rozbiło się 5 barek, na których pielgrzymi podążali na jakąś uroczystość kościelną. Wszyscy znajdujący się w owych nieszczęsnych łodziach znaleźli śmierć w falach, a z pomiędzy pozostałych na brzegu pątników wielu grad zabił.

Gubernator Bagdadu, dowiedziawszy się o nieszczęściu, wysłał ludzi z furmankami na pomoc nieszczęśliwym ofiarom rozszalałego żywiołu. Wysłańcy skonstatowali, że z 1,300 pielgrzymów bardzo niewielu ocalało.

Na popisie głuchoniemych i ociemniałych w Warszawie i w tym roku jak za lat poprzednich można było przekonać się jak wielkie dobrodziejstwo wyświadczył ksiądz J. Falkowski otwierając ten zakład r. 1817.

Przedstawiono publiczności chłopczyka i dziewczynkę, głuchoniemych wstępujących dopiero do Instytutu, którzy żadnego głosu wydać nie byli w stanie i z nikim porozumieć się nie mogli. Umysł ich przytępiony, duszyczka uśpiona, a jednak dzięki ciężkiej i mozolnej pracy nauczycieli, społeczeństwo będzie z nich miało później ludzi pożytecznych, sumiennych pracowników, którzy widząc, że mimo swego kalectwa nie są na świecie ciężarem, z pogodą w duszy los swój znosić będą umieli. Czyż może być wznioślejszy i piękniejszy cel?!

I ociemniali nie mniej korzystają z dobrodziejstwa zakładu, chociaż nauka ich w innym prowadzona kierunku, gdyż kalectwo ich innych wymaga starań, i innego kształcenia.

Głuchoniemi uczą się jakiej takiej wymowy, czytania, pisania, później otrzymują wiadomości z arytmetyki, geografii, zoologii i t. p., uczą się rozmaitych rzemiosł, mając ich do wyboru aż czternaście, a po skończeniu nauki wychodzą z odpowiedniemi kwalifikacyami.

Ociemniali poświęcają się przeważnie muzyce, gdyż ta daje im największą możność zarobkowania; umieją też pisać, ucząc się na umyślnie w tym celu zrobionych przyrządach i czytają na książkach z wypukłym alfabetem, dziewczęta wykonywają znów różne ręczne robótki przeważnie na drutach lub szydełkowe, ale mogą też i szyć mniej wykwintne rzeczy. Nie mają jednak pretensyi do współzawodnictwa ze swemi koleżankami głuchoniemiemi, które w dziale robót prym trzymają. Jakież to ładne hafty, jakie gipiury, co za staranne szycie pokazywano publiczności, a wszystkie te roboty jako też i wyroby rzemieślnicze można było nabywać za umiarkowaną cenę.

Popis rozpoczął się odśpiewaniem hymnu z oratoryum „Paulus" Mendelssohna, chórem na głosy mieszane.

Historyę założenia instytutu i cały przebieg jego istnienia opowiedział dyrektor Instytutu.

Potem nastąpił ciekawy egzamin głuchoniemych. Wysiłki ich w celu odpowiadania na zadawane przez nauczycieli pytania, przykre wrażenie sprawiały na słuchaczach, z przyjemnością też słuchali później zebrani goście uwertury z opery Montecki et Capuletti Belignego, odegranej przez orkiestrę instytucką, złożoną naturalnie z niewidomych.

Następnie popisywał się najzdolniejszy uczeń Bronisław Pastuszek odegraniem na skrzypcach „Pieśni słowiańskiej" Nerudy i na fortepianie: Romansu (Es dur) Rubinsztejna.

Potem zagrano „pieśń narodową" ułożoną na kornet i piston, dalej następował „Gawot" oktet na instrumenta smyczkowe, Wilhelmiego, wreszcie jakby na zakończenie pierwszej części programu niewidoma dziewczynka zadeklamowała wyjątek z „Ojca Zadżumionych," Słowackiego.

Po małej przerwie chór mieszany odśpiewał dwa kawałki: 1) Balladę z opery Rognieda i 2) Chór gości z opery „Duch Wojewody" Grossmana. Potem na samych dętych instrumentach zagrano „Chór pielgrzymów" z opery Tannhäuser, Wagnera, a na zakończenie rozległ się wspaniały marsz.

Nastąpiło rozdawanie nagród, była to najuroczystsza chwila dla tych, którzy przez swoją pracę i pilność zasługiwali na wyróżnienie, a widać, że takich jest znaczna liczba w zakładzie, bo nagród było bardzo wiele. Dawniej udzielano też nagrody za koleżeństwo, ale teraz zostały skasowane.

Na zakończenie uroczystości otworzono drzwi kapliczki nad którą widnieje napis: „Bóg wszystko dobrze uczynił, i głusi że słyszą i niemi że mówią"; tam przed ołtarzem strojnie przybranym w kwiaty i zieleń kapłan zaśpiewał: Te Deum Laudamus, a później hymnem: „Boże Cesarza chroń" skończono popis. Publiczność oglądała jeszcze rysunki i roboty wychowańców, zwiedziła ogród, grzeczni nauczyciele nie szczędzili fatygi, oprowadzali wszędzie, objaśniali w jaki sposób odbywa się nauka, słowem przyjemnie i z pewnym pożytkiem można było przepędzić parę godzin w tym sympatycznym zakładzie.

Helena Bojarska.

Wieści z Nieświeża stałej siedziby książąt Radziwiłłów, niewesołe przybiegły do Warszawy. Przez lat prawie sto, powiada korespondent Gazety Warszawskiej, ordynaci nieświeżcy nie mieszkali w Nieświeżu. Ostatni ordynat z linii starszej, książę Dominik umarł we Francyi; córka jego jedyna Stefania, wydana za Wittgensteina, wniosła w dom mężowski wszystkie dobra allodyalne. Ordynacya, ograniczona do dóbr objętych aktem nadawczym z wieku XVI, dostała się linii młodszej, berlińskiej, lecz i ta długo nie zaglądała do Nieświeża, dopiero dzisiejszy ordynat, książę Antoni Radziwiłł, począł od lat kilku zjeżdżać corocznie z żoną do Nieświeża na parę miesięcy, co spowodowało przynajmniej wyporządzenie zamku i grobów przodków ordynata.

Jakoż zamek, utrzymywany porządnie, jaśniej się zarysowuje wśród gruzów, a także kościół jedyny w Nieświeżu, niegdyś przez księcia Sierotkę dla OO. Jezuitów fundowany, obecnie odnowiony, wygląda jak szlachcic odziany porządnie wśród swojej braci w łachmanach. Mieści on w swoich podziemiach trumny wszystkich członków familii Radziwiłłów, począwszy od księcia Sierotki, a obok niego spoczywa szlachcic Skorulski, który razem z księciem odbywał pielgrzymkę do Jerozolimy i z jego woli w tych sklepieniach pochowany. Podziemia te do niedawna opuszczone, niedawno dopiero odnowiono i trumny ustawiono w porządku. Pomiędzy 1850 a 1860 r., był tu straszliwy bezład: ołowiane lub metalowe trumny zamieniano na drewniane, aby metal spieniężyć; urny, w których mieściły się wnętrzności nieboszczyków zabalsamowanych, sprzedawano Żydom na mieście; nawet szczątki bogatej odzieży zdzierano z trupów. Obecnie, dzięki staraniom księżny, żony księcia Antoniego Radziwiłła, wszystko przywrócono do możliwego porządku, jakkolwiek ślady zniszczenia naprawić zupełnie niepodobna. Np. książę „Panie Kochanku" pozostał już w prostej, z desek sosnowych zbitej trumnie, do której przełożył go prawdopodobnie przemyślny zakrystyan, a ołowiana olbrzymia skrzynia, w której mieści się trumna ze zwłokami księżny Elżbiety, żony księcia Sierotki, zgnieciona jakimś widocznie nałożonym na nią olbrzymim ciężarem, już pozostaje w takim stanie. Wreszcie tablice z napisami z trumien pozdzierano, ponieważ były srebrne. Nie uszanowano wierszowanych napisów łacińskich Salomona Rysińskiego, znanych zresztą z broszury drukowanej w Lubczu; nie uszanowano podobnych napisów późniejszych. Srebro skusiło, a pomocników nigdzie nie zbraknie. Więc też dzisiaj już trudno dojść, kto w jakiej trumnie spoczywa.

Przeciw zbytkom i rozrzutności, przybierającym coraz większe rozmiary w Paryżu, występuje ostro kilka poważniejszych pism francuzkich. Przedewszystkiem perora skierowana jest do młodych dziewcząt, które noszą równie kosztowne materyalne tualety i cenne klejnoty, jak ich matki. Rozrzutność w strojach obecnych powiększa jeszcze nietrwałość materyałów, które dawniej przetrzymywały jeden sezon, a dziś starczą zaledwie na jedną zabawę. Dama, która dawniej płaciła 20,000 fr. rocznie za tualety, wydaje dzisiaj dwa razy tyle. Ale rozrzutność ta stosuje się nietylko do strojów; zbytki w nakryciu stołu i podawaniu obiadu przechodzą wszelkie granice. Odkryto na wety owoce, o których dawniej niemiano pojęcia; winogrona muszą być o każdej porze roku, a każdy gatunek owoców musi być podany na innym gerydonie. A kwiatów bez końca! Wzdłuż obrusa istny klomb kwiecisty, serwety spowite w kwiaty, świeczniki pełne wieńców. Nadto każdy gość ma swoją własną solniczkę, pieprzniczkę, cukierniczkę, masielniczkę, swój słoik do musztardy i t. p.

Niesłychany zbytek panuje w podarunkach kotylionowych. Czemże są sławne *montage* cesarzowej Eugenii w porównaniu z tem, co się dzieje teraz? Wówczas margrabia de Caux dawał pomarańczę, bukiet, małą bombonierkę jako najwyższe odznaczenie, z którego obdarowana tancerka niemało była dumna. Dzisiaj kotylion kosztuje 10 do 20,000 fr., bo trzeba rozdawać złote i srebrne upominki i trudno się dziwić, że pewien ojciec, ujrzawszy córkę swoją, powracającą z balu z takiemi skarbami zapytał: „Moje dziecko czy ci zapłacili jako tancerce?"

Dzieci boże. Pod taką nazwą utworzyło się w Monachium towarzystwo, zasadami swemi i życiem przypominające pierwszych chrześcian i jak ci ostatni pragnące objąć ludzkość całą i zreformować ją moralnie. Przyjmuje ono do swojego grona wyznawców wszelkich religii, uznając, iż jeden Bóg i jedno niebo istnieje dla każdego człowieka. Bogactwa wyrzekać się nie zaleca, ale uważa je za dany przez Opatrzność środek do wykonywania dobrych uczynków a przedewszystkiem wspierania biednych. Wszyscy członkowie wyrzekają się palenia tytuniu, używania jakichkolwiekbądź trunków, zabijania nieszkodliwych zwierząt i używania na pokarm mięsa i krwi... Codzienny pokarm „dzieci bożych," tak kapłanów, jakoteż i świeckich, chrześcian i niechrześcian, składa się z chleba, owoców, miodu, roślin, jajek, masła, sera, napój zaś z wody, mleka, kakao, czekolady i wina owocowego; w wyjątkowych okolicznościach dozwolonem jest użycie wina z latorośli winnych, kawy i herbaty. Dalej „dzieci boże" wyrzekają się wszelkich procesów, kłótni, przekleństw, próżności w ubraniu, a biedni nienawiści do bogatych

Dopuściwszy wszelkie narodowości, przyjęli volapük, jako język porozumienia się i liczbę 333 jako symbol swego bractwa... Zewnętrzną oznaką członków jest trójkolorowa wstęga, złożona z żółtej, zielonej i fioletowej barwy.

Przeciw szczotkom, miotełkom i skrzydłom, używanym zwyczajnie po domach do ścierania kurzu, wystąpił w jednem z ostatnich swoich dzieł uczony przyrodnik francuzki, Henryk de Parvilla. Twierdzi on, iż nietylko wyż wymienione sprzęty nie wypełniają swego przeznaczenia, przenoszą tylko bowiem z miejsca na miejsce kurz, zamiast go usuwać, ale nadto rozsadnikami są niebezpiecznemi epidemicznych zarazków. Uczony radzi używać do ścierania kurzu wilgotnych szmat.

Oryginalną prośbę otrzymał w tych dniach król włoski, Humbert. Morderca jakiś, skazany na śmierć przed kilku miesiącami prosi monarchy, aby go przypadkiem nie ułaskawił, lecz kazał powiesić, pieniądze zaś, które wydano by na jego utrzymanie w więzieniu, dał jego biednej rodzinie. Morderca pisze: „Jestem młodym człowiekiem, mogę żyć jeszcze przynajmniej z pół wieku; suma, jaką kosztowałoby waszą królewską mość moje niepotrzebne istnienie, zabezpieczy moją rodzinę."

— Ah! jakże nieznośny jesteś, Janie! Siedziałeś w mieście tak długo a posłałem cię tylko po pół funta kawy.

— To też, proszę łaski pańskiej, przyniosłem cały funt, jak Boga kocham, cały funt.

* * *

Niejednemu z czytelników zdarza się spotkać na szpaltach pism z ogłoszeniem, które stylizacyą swoją tylko uśmiech na usta wywołać może.

Pochodzi to ztąd, że ogłoszenia pisuje, kto chce, a redakcye za ostatnie kolumny pism swoich nie biorą żadnej odpowiedzialności.

Oto właśnie wiązanka takich, *cokolwiek niejasnych* ogłoszeń, zebrana z różnych stron ku uciesze czytelników.

Niejeden z nich nie zniósłby zapewne takiego widoku, jaki zapowiada następujący anons:

„Dziś, na placu X., wielkie ognie sztuczne przy *osobistem spaleniu* pana Patzelta."

Następujący anons ośmiesza podającego go:

„Niżej podpisany poleca na kuracyę mleczną *swoje własne* mleko od krowy."

Oto zawiadomienie jednej z instytucyi dobroczynnych, w której gotowania pokarmów dla biednych, doglądają domy:

„*Paragraf 4-ty.* Każda marka ważną jest tylko na ten dzień, w którym została wydaną, a dama, której gotowanie zostało powierzonem, nosi przy sobie drukowaną kartę ze spisem potraw *i jest na odwrotnej stronie* w naszą pieczęć zaopatrzona."

Przerażającem natomiast musi się wydać następujące ogłoszenie zarządu miasta:

„Dziś, na tutejszym gmachu magistrackim, przybitą została czarna szafka, w której wszyscy zaręczeni, pragnący wejść w związki małżeńskie, mają być wywieszeni."

Bardzo podejrzanie wygląda też następujące podziękowanie:

„Wszystkim osobom, które niosły nam pomoc *przy wybuchu pożaru* w naszym domu, składamy najgorętsze nasze podziękowanie."

Niemożebnym do wypełnienia ze względu na przyzwoitość publiczną jest następujący rozkaz do armii:

„W dniu jutrzejszym, jako w dniu imienin Jego Królewskiej Mości Króla Saskiego, wszyscy żołnierze tutejszej załogi mają się *tylko w chełmach* ukazywać na ulicach."

Do kategoryi wesołych zaliczyć trzeba ogłoszenie takie:

„Szczepienie *dzieci od cieląt* odbywać się będzie codzień, od dnia 23 b. m." — i to drugie:

„Tu można zgodzić dwie mamki, obie czterotygodniowe i z obfitym pokarmem."

Na taki epitet dla swych „pociech" nie zgodzą się znów zapewne żadni rodzice:

„Trzyletni osioł, stosowny z powodu swej łagodności nawet do towarzystwa dzieci, jest do sprzedania."

* * *

Do gabinetu jednego z bankierów wchodzi pierwszy buchalter z miną niezmiernie strwożoną.

— Co się stało? — pyta nagle bankier niezmiernie zaniepokojony.

— Panie pryncypale, spadła...

— Co, renta spadła? — nagle zapytuje bankier, robiąc oczy wielkie jak talary.

— Ależ nie, to żona pańska spadła ze schodów drugiego piętra.

— Ej! do licha, pocóż mnie straszyć było tak niepotrzebnie!

RÓŻNE MYŚLI.

Często przypadek użycza nam swej pochodni, aby oświecić nową ścieżkę życia.

Cas. Delarique.

ZAWIADOMIENIA.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою, Варшава, 14 Іюля 1888 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).